

nami sytuacji. Zaledwie książę wszedł i zamknął za sobą drzwi — dostał ukłucie szpryką Pravatza, napełnioną cyankiem potasu. To samo było ze Staubem.

— A w jaki sposób pan się dostał do tego domku?

— O tem pan wie równie dobrze, jak i ja — przecież Sebastyan opowiedział to panu.

— Sebastyan? — wykrzyknął pan Ducroc w którego umyśle poruszyło się nagle pewne wspomnienie. — Skąd pan wie o tem?

— Podśluchałem waszą rozmowę w opuszczonym domu przy bulwarze Augusta Blanqui.

— A! — zawołał szef bezpieczeństwa — więc Sebastyan miał słuszną. To skrzypnięcie podłogi na pierwszym piętrze...

— Tak, to ja tam byłem. Udało mi się wówczas — o mało nie wpadłem w pańskie ręce. Schowałem się w kominek i cudem prawie uniknąłem niebezpieczeństwa. Ale ta przygoda przekonała mnie, że Sebastyan był zanadto niebezpieczny i postanowiłem pozbyć go się jak najprędzej. Jak pan wie, — przedtem parę razy darowałem mu życie.

— Z wyjątkiem wypadku w tej knajpie, gdzie pan zastawił na niego pułapkę.

— Tak, chciałem wówczas pozbyć się go, bez przykładania do tego własnej ręki. Ale teraz miałem go już dość. Odkrył sposób otwierania kraty w oknie. A co gorsza był już bardzo blisko odnalezienia podziemnego korytarza.

— Jakto? Więc ten korytarz istnieje naprawdę? — zawołał pan Ducroc z niedowierzaniem.

— Naturalnie.

— W miejscu, które określił Sebastyan?

— Tak jest — w tem samym miejscu — pod kupą węgla.

— Ależ przeszukano całą piwnicę, skopano ziemię i nic nie znaleziono.

— Bo otwór korytarza zamurowałem przy pomocy cementu, który w dodatku zmieszany był z pyłem węglowym, tak, że nie widać było koloru.

— I pan sam podolał takiej pracy?

— Nie — pomagał mi Sebastyan.

— Sebastyan?

— Tak, zahypnotyzowany. Przytem otwór nie był wielki — miał średnicy 90 centymetrów, a około dwu metrów głębokości. Załatwiliśmy się z tą pracą w przeciągu jednego popołudnia.

— Dobrze! — odparł pan Ducroc — ale jednej rzeczy nie rozumiem. W jaki sposób węgiel, który maskował otwór korytarza — mógł być ułożony zawsze jednakowo?

— Ach, nic prostszego. Sebastyan wspominał panu, że kawałki węgla były sklezione ze sobą. Z chwilą, gdy stwierdził to — odkrył połowę sekretu. W rzeczywistości — cała kupa węgla stanowiła jedną masę, którą można było podnieść, gdy trzeba było odsłonić otwór korytarza — i opuścić potem na miejsce tak, że ani jeden kawałek nie odpadł.

— Jednakże jeden człowiek nie był w stanie podnieść takiego ciężaru...

— To też czyniło to się przy pomocy lewara z korbą...

— A, tak! — rzekł pan Ducroc, dla którego każde zdanie opowiadającego było niespodzianką. I dodał — z rosnącym wciąż zaciekawieniem:

— A gdzie się kończył ten korytarz podziemny?

— W piwnicy szpitala barona Colleta, akurat pod moim laboratorium...

— Ależ lecznica Colleta oddalona jest od domku przy ulicy św. Jakóba o jakie pięćdziesiąt metrów.

— Pięćdziesiąt dziewięć, ściśle biorąc.

— Więc w jaki sposób wykopał pan korytarz takiej długości nie zwracając niczyjej uwagi?

— Nie mogę przecież przypuścić, że pan sam dokonał tej pracy!

— Nie potrzebowałem czynić tego. Korytarz ten istnieje oddawna.

— Istnieje oddawna?

— Tak, panie szefie bezpieczeństwa. Przecież musi pan wiedzieć, że ta właśnie dzielnica Paryża posiada całą sieć korytarzy podziemnych.

— Rzeczywiście! — zawołał pan Ducroc, zawstydzony. — W jaki sposób Sebastyan, który myślał o wszystkim — przeoczył to?!

— Niech pan będzie pewny, że wiedział o tem, — odparł Vanesco — tylko nie mówił tego panu. Ja oddawna przypuszczałem istnienie tych przejść podziemnych, a z chwilą gdy je odkryłem, nie miałem już wiele do roboty.

Vanesco zamilkł i chciwie wypił lekarstwo, które podał mu felczer. Był bardzo blady, obfity pot pokrywał mu czoło — widać było, że nadludzkim wysiłkiem woli opanowuje osłabienie.

Pan Ducroc siedział bez ruchu, przypatrując się

choremu z głęboką litością, i nie śmiąc zadać mu ostatniego pytania, które piekło mu wargi. Jednakże Vanesco, po wypiciu lekarstwa, nabrał sił i jakby odgadując pragnienie szefa bezpieczeństwa, zapytał:

— Chce mi pan zadać jeszcze jakie pytanie? Niech pan mówi prędko — bo czuję, że koniec już bliski i wkrótce nie będę mógł mówić.

— A więc — wyjął pan Ducroc — co pan uczynił Sebastyanowi?

Twarz umierającego skrzywiła się boleśnie. Zakrył oczy ręką, jak gdyby chciał zasłonić się od widoku, jaki wywołały w jego wspomnieniach słowa pana Ducroc.

— Ach, panie szefie bezpieczeństwa — rzekł z głębokim smutkiem, z trudnością wymawiając słowa — to moja największa zbrodnia, której sobie nigdy nie przebaczę. Przysięgam sobie, że zabiję Sebastjana. Czemuż nie uczyniłem tego! A ja doprowadziłem go do utraty zmysłów, nieszczęśliwca. I co jest najstraszniejsze, to to — że zdaje sobie sprawę ze swego stanu, a nie może wyrazić tego.

— Ależ — przerwał z niepokojem pan Ducroc — nauka jest potężna — pańska wiedza jest olbrzymia — i pan, który dokonał tej zbrodni — czy pan nie zna środka, któryby mógł ją naprawić?

— Niema... niema na to żadnego środka... Mózg Sebastjana jest pozbawiony orientacji na zawsze... Ten cudowny mechanizm jest zepsuty i nikt nie jest w stanie na.....

Nie dokończył — rozpoczęte słowo przeszło w rżenie. Schwycił go śmiertelny kurcz. Zamknięte przed chwilą oczy — otwarły się szeroko i pozostały nieruchome, straszne.

— Umarł? — zapytał szeptem pan Ducroc.

— Umarł... — odparł felczer.

Szef bezpieczeństwa patrzył przez długą chwilę na tego, który mu tyle sprawił trudów, kłopotów i zgrzyot, poczem pochylił głowę, czcząc tem majestat śmierci i wyszedł.

Pomimo wzruszeń, jakich doznał podczas opowiadania doktora Vanesco — powracał teraz do swego biura spokojny: *Fabrykant mumu nie żył!*

KONIEC.